

Maszyny w służbie przyrody. Rozmowa z Maciejem Frettem i Arkadiuszem Bagińskim z zespołu Job Karma

W ubiegłym roku, w ramach „Wrocław Industrial Festiwal”, zorganizowaliście spektakl multimedialny „Rytuał dla Ziemi”. W folderze promującym to wydarzenie można było przeczytać: „Szukamy śladów duchowości i głębokich doświadczeń, które zdarzają się w życiu każdego z nas, przypominając, że na elementarnym poziomie ziemia, natura, przyroda i my, stanowimy jedno. Odkrywanie tej zapomnianej prawdy bywa źródłem egzystencjalnej przemiany”. To mocne, głębokoekologiczne słowa. Można wyczuć, że staracie się odpowiadać na ważne pytania dotyczące cywilizacji i przyrody...

Maciej Frett: RYTUAŁ to rozgrywane na kilku płaszczyznach cykliczne wydarzenie, w którym przenikają się i uzupełniają tak nośne obecnie formuły i narzędzia artystycznej kreacji, jak video art, animacja komputerowa i muzyka elektroniczna.



Koncert Job Karmy. Fot. Bartosz Sarama (yesternight.pl)

Całość ma charakter medialnej hybrydy - instalacji, służącej przede wszystkim ekspresywnemu sygnalizowaniu treści oraz intuicji odnoszących się do kondycji człowieka, jego statusu we współczesnym świecie. Wykraczającą poza sztukę intencją RYTUAŁU jest wytyczenie drogi: od estetycznego meta-opisu ku indywidualnemu rozpoznaniu i refleksji. Jako cykl multimedialnych obrazów, RYTUAŁ jest poszukiwaniem symbolicznych przedstawień dla społecznych i kulturowych zmian zachodzących w rzeczywistości; jest także antycypowaniem skutków ingerencji w uniwersalne, niepodważalne reguły i mechanizmy naszego życia.

Arkadiusz Bagiński: Najnowsza edycja Rytuału, opatrzona podtytułem „dla Ziemi”, koncentruje się wokół ZIEMI, rozumianej tu jako prymarna siła i żywioł. Przywołując takie jej rozumienie - symboliczne, archetypiczne, ekologiczne, filozoficzne i społeczne - chcemy poprzez serię artystycznych działań pobudzić do spajającej w owe wątki uniwersalnej refleksji na temat relacji człowieka z naturą. Refleksji, która odniesie się nie tylko do, niejako już zbanalizowanej w potocznym ujęciu, degradacji środowiska naturalnego. RYTUAŁ ma wpisane w synergiczną formułę walory edukacyjne. Zawiera bowiem wyraziste przesłanie odwołujące się do ekologicznej świadomości. Jednocześnie poprzez zasadniczo artystyczną formę stanowi doskonale podłoże dla indywidualnych poszukiwań w sferze sztuki i kultury. RYTUAŁ można również postrzegać jako próbę nawiązania dialogu, tudzież głos w przetaczającej się przez międzynarodowe środowisko artystyczne debacie o powinnościach artysty wobec społeczności, wobec wyzwań, jakim musi sprostać współczesny człowiek. Człowiek, który boryka się z globalnym problemem degradacji środowiska naturalnego, atomizacji i alienacji w sztucznym miejskim ekosystemie.

Wasz „Wrocław Industrial Festiwal” to nie tylko muzyka. Jaka jest główna idea festiwalu? Patrząc na pomysły, które od kilku lat wcielacie w życie, a które towarzyszą koncertom, widać, że proponujecie więcej niż tylko same dźwięki...



A. B.: Przede wszystkim należy wspomnieć, że festiwal jest jedyną tego typu imprezą prezentującą sztukę industrialną (głównie muzykę, ale również sztuki plastyczne, video, performance art) w Europie. Sukces poprzednich sześciu edycji przerósł nasze oczekiwania. Dzięki swej unikalności i faktowi, iż znakomita większość wykonawców występuje niezbyt często (a w tej części Europy zwykle po raz pierwszy), na festiwal przyjeżdżają odbiorcy m.in. z Austrii, Włoch, Francji, Danii, Litwy, Ukrainy, Irlandii, Izraela, Czech, Słowacji, Anglii i Niemiec, a nawet z USA. Impreza odbiła się szerokim echem w mediach zachodnich, potwierdzając tym samym europejską rangę wydarzenia. Włoska wytwórnia płytowa Ars Benevola Mater co roku wydaje na tę okoliczność specjalną płytę CD z niepublikowanymi utworami (inspirowanymi pobylem we Wrocławiu) artystów zapraszanych na kolejne edycje. Płyty te dystrybuowane są na całym świecie, a ich tytuły mówią same za siebie: „A Rainy November Day in Wrocław”, „Walking in the Rain on Ostrow Tumski”.

M. F.: Osią wydarzenia są audiowizualne koncerty o charakterze multimedialnym – łączące muzykę z obrazami video i performance art. Wydarzeniu towarzyszą wystawy fotografii, malarstwa i instalacji przestrzennych we wrocławskich galeriach oraz pokazy video.

W warstwie muzycznej festiwal z jednej strony odwołuje się do tradycji awangardowej muzyki europejskiej, przedstawia wykonawców, którzy zapisali się na kartach historii muzyki jako protoplaści gatunku, a z drugiej strony ukazuje w jak różnych kierunkach owa sztuka się rozwinęła. Od estetyki noise (czyli najbardziej radykalnej formy sztuki hałasu) i ambient (odwołującego się do dźwięków otoczenia, spokojnej, często medytacyjnej formy muzyki industrialnej) po typowo akustyczne wystąpienia przedstawicieli tzw. neo folk (lub neo classical). Koncepcja festiwalu pozwala w czytelny sposób ukazać olbrzymią różnorodność w obrębie sztuki industrialnej, a zarazem przyczynić się do jej promocji. Dodać należy, iż tego typu koncerty mają niewiele wspólnego z powszechnie rozumianym pojęciem koncertu. Najczęściej są to audiowizualne performance's, gdzie dźwięk, ruch sceniczny i obraz wideo stanowią zupełnie nową wartość estetyczną. Po wszelkie informacje dotyczące festiwalu zapraszamy na stronę: industrialart.eu/festival.

Z okazji upływu 20 lat, jakie minęły od katastrofy elektrowni atomowej w Czarnobylu, zrealizowaliście film dokumentalny „Czarnobyl moje życie” i film „Imperium Zona”. Skąd fascynacje tym miejscem? Pojechaliście nawet do samego epicentrum zamkniętej strefy, by poczuć niezwykłość zony...



Prypeć. Fot. Maciek Frett

A. B.: 26.04.1986 Czarnobyl – tego dnia i w tym miejscu technologia ujawniła swój niszczycielski potencjał, z narzędzia uosabiającego największe ludzkie aspiracje przeistoczyła się w złowrogi żywioł. 20 lat po wydarzeniu nadal dręczą nas pytania: jak doszło do tej katastrofy, jakie są jej konsekwencje i jak można ustrzec świat przed podobnymi dramatami. Tymi kwestiami zajmują się politycy, naukowcy, przedstawiciele świata techniki. Sztuka jako medium najbardziej bliskie egzystencjalnym, głęboko przeżywanym problemom każdego z nas, ale również świadoma swych ograniczeń, winna uczestniczyć w poszukiwaniu odpowiedzi. „Rytuał w Czarnobylu” to akcja-przedstawienie, które ma prowokować do myślenia oraz niejako w artystyczny sposób „mitologizować” obszar kojarzony z porażką ludzkiej myśli technicznej i dramatem setek tysięcy ludzi narażonych na skażenie radioaktywne.

M. F.: Film dokumentalny „Czarnobyl moje Życie” opowiada o ludziach, którzy powrócili do strefy i postanowili w niej żyć, ich warunki bytowe trudno porównywać do standardów XXI wieku... Opowieści o katastrofie, codziennym życiu w Zonie, gdzie niewidzialnym przyjacielem wydaje się być

jedynie radioaktywny pył, składają się na szokujący obraz poindustrialnego świata, zapomnianego przez całą cywilizację. „Imperium Zona” to film zrealizowany w konwencji video artu i animacji komputerowej. To opowieść o podróży przez opuszczone miasto Prypeć, w którym realne obrazy zlewają się z psychodelicznymi animacjami sugerującymi, jak wyglądało życie w mieście przed zagładą – mamy więc ślepy konsumpcjonizm, pogoń za pieniądzem, oszalałe media kreujące „tekturowy” blichtr rzeczywistości oraz samotność jednostki. Zoną w tym przypadku może być każde inne miasto...

Jak 20 lat po awarii wygląda świat miasta Prypeć - miasta bez ludzi? Czy nie jest to widok przygnębiający?

M. F.: Miasto Prypeć jest najbardziej przytłaczającym miejscem na Ziemi, jakie kiedykolwiek widziałem. Przybijająca cisza, potęgująca echem każdy dźwięk, powoduje, że czujesz się jak w przerażającym filmie. Wyobraź sobie dźwięk kopniętej przypadkowo puszki, który wybrzmiewa echem przez kilkadziesiąt sekund. To dziwne uczucie spacerować ulicami tego niegdyś 50-tysięcznego miasta, które nota bene było techniczną perłą ZSRR. Było to miasto wzorcowe, z całym zapleczem wypoczynkowo-rekreacyjnym, nowoczesną jak na sowieckie standardy infrastrukturą. Miasto dla wybranych: naukowców, inżynierów, pracowników elektrowni, piewców potęgi atomu. Dziś okna dziesięciopiętrowych bloków świecą pustką, z której krzyczy przerażenie i cicha nieświadomość tragedii tysięcy ludzi ewakuowanych stąd w ciągu kilku godzin. Szokujące wrażenie robią budynki szkoły, gdzie na podłodze wciąż leżą porzucane w pośpiechu podręczniki i przybory, biblioteka, sklep z powywracanymi półkami i resztkami towarów, basen czy sala gimnastyczna ze zniszczonymi elementami infrastruktury. Dziwnym uczuciem jest ciągle obcowanie z niewidzialnym zagrożeniem. Zwykle świadomość człowieka naturalnie broni się przed widzialnymi/odczuwalnymi źródłami zagrożenia zewnętrznego. Tu natomiast nie ma nic oprócz świadomości, że praktycznie każdy znaleziony przedmiot, każda klamka, którą otwierasz drzwi, schody, rośliny – wszystko jest naszpikowane olbrzymimi dawkami radioaktywnych substancji. Stojąc na dachu hotelu królującego nad okolicą, usłyszałem swój głos, który powtarzał: „tak będzie wyglądał koniec...”.

Podobno przyroda wdziera się w serce ludnego kiedyś miasta, sama Zona zaś stała się największym na świecie atomowym rezerwatem. Czy można powiedzieć, że są to miejsca na swój sposób niezwykle?

M. F.: W Zonie byliśmy na początku marca, kiedy Prypeć przykrywała czapa śniegu, trudno więc faktycznie ocenić rozmiar ingerencji zieleni w „wielką płytę” miasta. Jednak faktem jest to, iż oprócz kilku głównych arterii komunikacyjnych, wszystko porośnięte jest roślinnością – place, skwery, chodniki, uliczki... Drzewa i krzewy wdzierają się do budynków. Aby dostać się do niektórych budowli, trzeba przedrzeć się przez prawdziwy gąszcz gałęzi – a jeszcze 20 lat temu prowadziły do nich szerokie chodniki. Widzieliśmy również wiele śladów zwierząt. Przyroda szybko pochłania odpady cywilizacji stworzonej przez człowieka. Z tego, co się dowiedzieliśmy, rząd Ukrainy nie ma pomysłu co zrobić z Zoną. Prawdopodobny wydaje się być los atomowego rezerwatu, do którego wstęp mają jedynie naukowcy i nieliczni szaleńcy. Moim zdaniem, Prypeć powinni zobaczyć wszyscy orędownicy nieomyślności ludzkiej myśli technologicznej, ślepo wierzący w swoją jedyną słuszną wizję technokracji, próbujący nam wmówić, że elektrownie atomowe są najbezpieczniejszymi i najczystszyimi źródłami energii. Być może zabrzmi to bluźnierczo – ale to miejsce stanowi równie wymowną i mocną przestrożę dla przyszłych pokoleń, jak Auschwitz.

Od ponad 10 lat tworzycie muzykę jako Job Karma. Piszecie o sobie - projekt audiowizualny, penetrujący ambientowo-transowe rejony postindustrialnej estetyki. Czy w tej estetyce da się opowiadać o otaczającym świecie? Słuchając waszej muzyki można odnieść wrażenie, że dźwięki miasta mocno was inspirują...

*Maszynny w służbie przyrody. Rozmowa z
Maciejem Frettem i Arkadiuszem
Bagińskim z zespołu Job Karma*

M. F.: Fakt, iż tworzymy w tej estetyce, jest naturalną konsekwencją naszych upodobań muzycznych. Nie widzę dużej różnicy pomiędzy gitarą a syntezatorem w możliwościach opowiadania o otaczającym nas świecie. Wszystko jest zakodowane w sercu twórcy, ładunek emocjonalny, którego katalizatorem jest świat zewnętrzny, może być wyartykułowany na różne sposoby, wszystko zależy od wrażliwości twórcy. W naszym odczuciu, tkanie za pomocą elektronicznego oręza muzycznych opowieści o naszych emocjach i świecie, który postrzegamy przez pryzmat naszych umysłów, jest naturalne. Elektronika otwiera dużo większe możliwości, pozwala na kreowanie surrealistycznych, abstrakcyjnych światów dźwiękowych, które idealnie oddają np. atmosferę opuszczonego miasta Prypec. Skojarzenie z inspiracją miastem wydaje mi się adekwatne głównie do warstwy rytmicznej naszej muzyki i tu zgodzę się, że dźwięk pracy maszyn, odgłosy fabryki, stukot kół tramwaju, niejednokrotnie były inspiracją do budowania struktur rytmicznych utworów. Tak naprawdę jednak wiele z tych motywów rytmicznych nawiązuje do transu i muzyki szamańskiej, tyle że zamiast dźwięku bębna są one oparte np. o brzmienie blachy ciskanej na betonową podłogę.

Choć zapewne o waszej muzyce trudno powiedzieć ekologiczna, przyroda jest chyba ważnym „tworzywem”...

M. F.: Choć brzmi to może nieprawdopodobnie, to w naszej zmechanizowanej muzyce uważny słuchacz znajdzie dużo „dźwięków” przyrody w postaci sampli np. szumu potoku górskiego, śpiewu owadów i ptaków. Często jednak te odgłosy osadzone są w mocno kontrastujących z nimi przestrzeniach dźwiękowych, co jest celowym zabiegiem. Używamy też wielu brzmień instrumentów tradycyjnych – ludowych (oczywiście preparowanych za pomocą samplera), które w odhumanizowaną, „bezduszną” miejską elektronikę tchną humanistyczny oddech. Jak widać, nasza muzyka zbudowana jest w oparciu o wiele kontrastów brzmieniowych i znaczeniowych.

Czy nie odnosicie czasem wrażenia, że miasto przytłacza współczesnego człowieka i powoduje, iż przyroda staje mu się obca?

M. F.: Miasto niestety stało się „naturalnym” środowiskiem bytowym człowieka XXI wieku. Miasto klaustrofobiczne, neurotyczne, z tanim blichtrzem kolorowych billboardów, z wystawami sklepowymi „nakręcającymi” sztuczny popyt na niepotrzebne produkty. Miasto zawodzące swoją smutną pieśń, z przewodnim motywem hamujących tramwajów o świecie. Miasto, w którym tak wielu ludzi i tak mało człowieka na twarzach mijanych na ulicy. Takie miejsce stworzył sobie do życia nasz gatunek i choć zdają sobie sprawę, iż jest to mocno niesprzyjające otoczenie, to jednak z wielu powodów nie wyobrażam sobie w chwili obecnej życia poza nim.

A. B.: Tak jest, ale człowiek potrzebuje tej natury. W wielkich miastach są wydzielone strefy, w których „coś tam rośnie” – trawa, drzewa, kwiaty... Te przestrzenie nazywamy trawnikami, skwerami, parkami – wystarczy zobaczyć, że jeśli tylko są korzystne warunki atmosferyczne, to owe miejsca zaraz zapełniają się ludźmi. Ale człowiek potrzebuje więcej wolnej przestrzeni i kontaktu z nią. Miasto zapewnia tylko substytuty – zatruliśmy rzeki to zbudujemy baseny, wybijamy zwierzęta lub się ich boimy – zbudujemy klatki, wsadźmy tam co nieco i nazwijmy to ogrodem zoologicznym. Nota bene są teorie mówiące, że zachowania dzikich zwierząt zamkniętych w zoo są podobne do zachowań współczesnych ludzi w wielkich miastach. Człowiek musi stawić czoła życiu w dużej aglomeracji i być może sam znalazł się w klatce, a substytutem przyrody, przestrzeni, może być dla niego np. telewizja. Oczywiście nigdy nie pozbędzie się potrzeby obcowania z naturą – dlatego im ciasniejsza klatka, tym większe frustracje.

Czy zatem istnieje opozycja miasto - natura?

M. F.: Już samo zestawienie tych dwóch słów sugeruje pewną sprzeczność. Nie bądźmy jednak malkontentami. Chciałbym tu zwrócić uwagę na ideę Ebenzera Howarda, który pod koniec XIX wieku

*Maszyny w służbie przyrody. Rozmowa z
Maciejem Frettem i Arkadiuszem
Bagińskim z zespołu Job Karma*

zapropował zupełnie nowy układ urbanistyczny: Miasto-ogród. Miasto takie w założeniu ideowym miało stanowić samodzielną jednostkę, funkcjonującą niezależnie także w sferze gospodarczej, przestrzennej i społecznej. Główną jednak cechą takiego miasta miało być występujące na jego obszarze piękno przyrody, czyste powietrze i woda, otoczone ogrodami słoneczne domy i spokój. Zgodnie z tą ideą, podstawą strefy mieszkaniowej miały być warunki ekologiczne, możliwe do osiągnięcia przez odpowiednie planowanie urbanistyczne. W kilku miejscach (również w naszym kraju) udało się tę koncepcję wprowadzić w życie. Można zatem znaleźć satysfakcjonujące, kompromisowe rozwiązanie – niestety architektom współczesnych miast najwyraźniej na tym nie zależy.

A. B.: Zdecydowanie tak.

Miasta przyjazne środowisku to iluzja. Miasto rządzi się swoimi prawami, natura jest tu zdecydowanie podporządkowana regułom życia miejskiego. Alternatywą miasta jest natura. I jeśli np. ludzie w poszukiwaniu lepszej pracy lub chcący się kształcić, wybierają miasto, gdzie są uczelnie czy miejsca pracy, to następuje emigracja – ale ruch widoczny jest także w drugą stronę, gdyż po przeżyciu paru lat w mieście, wiele osób myśli o ucieczce na wieś. Tak więc miasto zaczyna się rozrastać, wchłaniając najbliższe okoliczne miejscowości.

Cywilizacja i jej kolejne techniczne wynalazki zdają się być czasem naszą szansą na szczęśliwe istnienie na planecie Ziemia. Czy nie jest jednak tak, że ślepo wierząc w nasz umysł i stworzone maszyny, próbujemy się w jakiś sposób odizolować od nieokiełznanej przyrody?

A. B.: Człowiek od zarania dziejów starał się ułatwić sobie życie, weźmy na przykład broń, którą od tysiący lat człowiek stosował i udoskonalał – zaczął od kamienia i kości, a spójrzmy, w jakim teraz znaleźliśmy się punkcie... Ludzkość dysponuje bronią nuklearną, śmiercionośną nie tylko dla człowieka, ale dla całej planety, mało tego, przenosi zakres potencjalnego konfliktu w kosmos. Środki finansowe i nakłady zaprzęgnięte w ten ponury interes mogłyby uszczęśliwić całą ludzkość, ale tak się nie dzieje. Nowe technologie z jednej strony stwarzają zagrożenie, ale też i szanse w takich dziedzinach, jak np. medycyna, komunikacja, transport. Niestety wszystko to ma swoją drugą stronę medalu – przestajemy być odporni, stajemy się alergiczni, wyalienowani, żyjemy w zanieczyszczonym środowisku. Musimy zdać sobie sprawę, że żyjemy na kredyt i któregoś dnia do naszych drzwi zastuka komornik.

Czego brakuje współczesnemu cywilizowanemu człowiekowi, by mógł odnaleźć więź z Naturą?

A. B.: Pytanie raczej powinno brzmieć: co powinniśmy odebrać człowiekowi, aby na nowo mógł poczuć tę więź. Ostatnio przeczytałem, że iloraz inteligencji po 100 latach zaczął przestać wzrastać, to znaczy, że stajemy w miejscu i czas pewnie pokaże, czy nie zaczniemy się cofać w rozwoju. Myślę, że znaleźliśmy się na bardzo złej drodze, przyczyną tego stanu rzeczy jest to, że mamy coraz więcej bodźców. Niestety to nie ma nic wspólnego z naturą, która nas otacza – to problem rozwoju cywilizacyjnego, gadżetów, które mają nam pomoc w komunikacji, rozrywce, pracy. Rozdzierają się związki między ludźmi, tracimy poczucie wspólnoty. Myślę, że jeśli już szukać rozwiązań, to jedyną szansą jest tu edukacja. Radosław Gawlik powiedział, że musi nastąpić jakaś szczególnie katastrofa w zachodniej części globu, która odmieni myślenie człowieka. Dodałbym jeszcze słowa Jacka Bożka – o braku liderów, którzy wskażą nam odpowiednią drogę.

Najpiękniejsze miejsca na ziemi, które są dla was ważne, a związane są z dziką przyrodą, to...

M. F.: Eksploracja dzikich przestrzeni stanowi nieodłączną część mojego życia. Kocham górskie eskapady z plecakiem z dala od cywilizowanego świata. Pochodzę z Karpacza, gdzie spędziłem dzieciństwo i wczesną młodość, w naturalny sposób tereny Karkonoszy są mi najbliższe, i choć to mocno „zdeptane” góry, to jednak wciąż można znaleźć tam urokliwe miejsca na uboczu uczęszczanych szlaków turystycznych, mam kilka takich „swoich” miejsc, do których z olbrzymią radością powracam.

Ostatnio zachwyliła mnie dzika przyroda norweskiego płaskowyżu Hardangervidda, po którym podróżowaliśmy rowerami wraz z żoną w ubiegłym roku. To największy górski płaskowyż w Europie. Absolutne pustkowia, niesamowita karłowata roślinność arktyczna, surrealistyczne formy skalne, pośród nich tysiące migotliwych jezior pełnych ryb, no i ta wszechobecna cisza i puuuuustoooo po odległy horyzont.

Przyrodę warto chronić?

M. F.: Oczywiście, że tak. Jest to tak elementarną i niepodważalną prawdą, że każdemu decydentowi powinno się ją tatuować na ręce, aby nawet przez chwilę nie zapomniał, że od jego decyzji może zależeć „być albo nie być” nie tylko poszczególnych gatunków flory i fauny, ale przede wszystkim człowieka.

Maciej Frett i Arkadiusz Bagiński – założyciele stowarzyszenia [INDUSTRIAL ART](#), niezależnej inicjatywy promującej sztukę (głównie muzykę i video art) niekomercyjną i awangardową, działającej we Wrocławiu. W chwili obecnej zajmują się organizacją corocznych festiwali: „Wrocław Industrial Festival”, „Wrocław Niezależny” „Energia Dźwięku”, oraz cyklu autorskich wydarzeń multimedialnych zatytułowanych „Rytuał”. Są członkami zespołu [Job Karma](#).